

A jednak się kręci

W Bibliotece Jagiellońskiej huczy od półtrzecia dnia. Kodeks Behema okazał się palimpsestem. Prześwietlenie rentgenem ujawniło wcześniejsze zapiski niejakiego Borzyna, syna Borzygniewa z Żębocina. Rzadkowłosy kustosz Jagiellonki, skądinąd megamiłośnik herbaty pu-erh, rhythm and bluesa i maine coonów, a sezonowo beaujolais nouveau, został z nagłą ściągnięty z urlopu, który spędzał w gminie Morzeszczyn, nieopodal kociewskiego Rzeżęcina. W mig ustalono, że pod tekstami wilkierzy ukryty jest quasi-diariusz ze schyłku XV wieku. Naprędce udało się przeczytać fragment:

„Zapisano 2 maja w roku Pańskim 1494. Szedłem na Okół obstalować sgabello u snycerza Stwosza, tegoż, co na swą chlubę i w hołdzie Maryi Pannie ołtarz mariacki wyrzeźbił. Po drodze [drodze-m] wstąpił do balwierza, słabowidzącego i lekko chorego pół-Niemca z Wittenbergi. Z niehamowaną admiracją przyjrzał się superkołtunowi, który imponująco wrzynał mi się w głęb skóry. „Oho! Przebiłeś acan w kołtunstwie Bożydara z Łobzenicy!” – wykrzyknął mistrz brzytwy, po czym zalecił, by dla rozkrzewienia hodowli nażąć pokrzywy żegawki, wyżyć jej pędy i do rzadkopłynnego ekstraktu dodać alasz, po krzcie anyżu, pierzgi i korzenia świerzębka, wszystko dobrze skłócić i wcierać w nakłuty kołtun. Ledwie [Ledwie-m] stamtąd wyszedł, gdy zniecka z Bursy Ubogich wypadła horda zhasanych jak marcholty żaków, którzy wnet czmychnęli chyżo, wyczyniając arcyharce i hałasując co niemiara. Bodajby hultaje szczęli!

Przy bramie Wiślniej dostrzegłem zacnego polihistora z rozwichrzonymi, tu i ówdzie poszczepianymi przy użyciu żegadła puklami. Zahaczony przeze mnie imćpan Kopernik pochwalił się, że dzięki obrotowi Ziemi mógł sobie dziś, wpółleżąc na kopcu Krakusa, obejrzeć wschód Słońca [słońca] nad niby-kurhanem Wandy. Przeżegnawszy się, wycharczałem: „Druhu Mikołaju, bój się Boga! Ziemia snadź tkwi w bezruchu, boć inaczej przestwór mórz przelewać by się musiał, z czego wielki potop i pomór na ląd byłby sprowadzon”. Strzepnąłem jakąś borzewkę czy rzemlika z kołnierza i dalej jałem wyłuszczać: „Gdyby Ziemia kręciła się w koło, wyskoczywszy wzwyż, nie opadłbyś na to samo miejsce, a idąc na wschód, powiedzmy do Homla, Mohylewa bądź abchaskiego Suchumi, ten sam dystans przemierzyłbyś wolniej niż w przeciwną stronę. Pomnij też na nieznużonego Atlasa, o którym to Hezjod w Teogonii rzecze. Jakżeby on pod czujnym spojrzeniem Hesperyd utrzymał sklepienie nieba, gdyby Ziemia wirowała jak wrzeciono i jeszcze wkoło Heliosa podróż odbywała? A i w Księdze Rodzaju Ziemia ani drgnie”. „Co to za hocki-klocki? Dajżeż waćpan pokój!”, odrzekł astronom i dworując sobie ze mnie, dorzucił: „Już przecie w Księdze henrykowskiej zapisano, co Ziemia rzekła do Słońca: – Daj, ac ja pobruszę, a ty poczywaj”, po czym odszedł w stronę Akademii Krakowskiej, nucąc melodię Guillaume’a de Machaulta”.

Kustosz po tej lekturze miał miszmasz w głowie i trzy postanowienia: przyjrzeć się wahadłu Foucaulta na ulicy Grodzkiej i przebiegowi południka krakowskiego, a także

zawnioskować o zmianę nazwy miasta na Kraków-Koperników, zwłaszcza że, nomen omen, akt lokacyjny spisano w Koperni. Przypadek?

Kategoria junior

Wehikuł czasu

Przemek z Pszowa, trzynastoipółletni amator taekwondo, przyjechał w przeddzień 19. Krakowskiego Półmaratonu Marzanny do Krakowa. Opuściwszy autobus przy alei Krasińskiego, chyżym tempem ruszył spod Jubilata w stronę mostu Dębnickiego. Tuż przed przyczółkiem przeprawy łączącej Aleje Trzech Wieszców z Dębnikami zszedł na bulwar Czerwieński. Z przyklejonym do wysłużonej nokii spojrzeniem przyspieszył kroku. Znienacka zahaczył czubkiem zszarzałego reeboka o porzuconą przez jakiegoś schamiałego hultaja hulajnogę, zachwiał się, zachybotał jak rozhuśtane wahadło i z chlustem wpadł do Wisły. W pół drogi do mulistego dna został zassany przez podpowierzchniowy megapęcherz, którym niczym kapitan Nemo swoim Nautilusem począł przemierzać burobrązowe odmęty. W końcu współprzutomny, znużony arcydziwną podróżą wewnątrz niby-batyskafu, wynurzył się zgięty wpół przy toruńskim nabrzeżu. Próżno jednak dopatrzyć się znajomych pejzaży. Na tratwach flisacy harują przy przeładunku pszenicy. Dwóch hardych pachółków miejskich z halabardami, minąwszy kępę pszonaku, przeczesuje przybrzeżne chaszcze, w których schronił się jakiś chmyz. Wtem ktoś chwyta Przemka za kołnierz. – Nie powinienes być w szkole, huncwocie? – charczy mu do ucha. Po półgodzinie chłopak już siedzi w obskurnej izdebce i odmienia po łacinie słowo rana, czyli żaba. Nauczyciel wymachuje do rytmu brzoźowymi różdżkami, rozsrożony niemożebnie. Przemek powtarza w koło Macieju tę samą formę: rana, rana..., jakby się zawiesił. – Rana to będzie, jak się nie nauczysz, próżniaku! – huczy wprost nad uchem scholara magister, chłoszcząc przy tym wiotkimi witkami powietrze. – Czy mogę to sobie wygugłać [wygoogłać]? – pyta chwacko żaczek. – Co tam gulgoczesz, kpie jeden? Zostaniesz w kozie, chojraku, to ci się żartów odechce. Mikołaju, odmień żabę! – Dla prymusa Kopernika to błahostka, deklinuje słowo w mig, lecz ze zwarzoną miną. Choć magister go hołubi, chłopiec daleki jest od chełpienia się swoją wiedzą. Po lekcjach dla przełamania lodów ciągnie Przemka do ruin krzyżackiego zamku, perorując po drodze, czym się różnią od siebie pustułka, kobuz, kobczyk i raróg. Zwierza się druhowi, że wypatrując ptaków, zaczął studiować nieboskłon. Przemek ma wrażenie, jakby zawsze tu był. Nie wie niebożę, że za niespełna sześć i pół wieku wpadnie w Krakowie do Wisły.

Autorką tekstów jest dr hab. Mirosława Mycawka, prof. UJ.